

CAROLINE  
O'DONOGHUE

PRZYPADEK  
RACHEL

PRZEŁOŻYŁA IGA WIŚNIEWSKA



Tytuł oryginału: *The Rachel Incident*  
Copyright © Caroline O'Donoghue 2023  
„The Famine Road” © Eavan Boland from New Collected Poems (Carcenet Press)  
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2025  
Copyright © for the Polish translation by Iga Wiśniewska, 2025

Redaktorka inicjująca: Paulina Surniak  
Redaktorzy prowadzący: Bogumił Twardowski, Zuzanna Soltysiak  
Marketing i promocja: Marta Szczurowska  
Redakcja: Patryk Białczak  
Korekta: Anna Gądek, Damian Pawłowski  
Projekt typograficzny i łamanie: Grzegorz Kalisiak  
Projekt okładki oryginalnej: FAVORITBUERO, München  
Grafika: © Lori Mehta Art  
Zdjęcie autorki: © Jamie Drew  
Adaptacja okładki i strony tytułowe: Magda Bloch

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Książkę wydrukowano na papierze Creamy HiBulk 53 g/m<sup>2</sup>  
dostarczonym przez firmę **ZING** S.A.

ISBN 978-83-68370-46-1

Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o.  
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań  
tel.: 61 853-99-10  
redakcja@wydawnictwopoznanskie.pl  
www.wydawnictwopoznanskie.pl

*Mężczyznom mojego życia.  
Ryanowi Farrelowi za to, że kochał mnie wtedy,  
Gavinowi Dayowi za to, że kocha mnie teraz,  
i mojemu tacie za to, że kocha mnie zawsze.*



Nigdy nie planowałam o tym pisać.

Wiem, że dziennikarze mówią tak przez cały czas, ale w moim przypadku to prawda. Prawie każdy z nas ma za sobą jakieś wielkie życiowe doświadczenie, które ma nadzieję pewnego dnia zamienić w książkę. Przysięgam na Boga, że nigdy nie było to moim zamiarem. Proces tworzenia książek został mi objaśniony, gdy miałam dwadzieścia jeden lat, i od tamtego czasu w ogóle nie ciągnęło mnie do tego, by angażować się w to w jakikolwiek sposób.



## I

Tak naprawdę o doktorze Byrne rozmawiałam tylko z Jamesem Devlinem, więc zawsze zakładałam, że jeśli kiedykolwiek wróci do mojego życia, to właśnie przez niego.

Myliłam się. Powrócił przez *Toy Show*.

*The Late Late Toy Show* to coroczne irlandzkie wydarzenie telewizyjne, podczas którego małe dzieci robią przegląd najlepszych zabawek roku i doradzają innym dzieciom, co umieścić na listach do Świętego Mikołaja. To wielka sprawa, jeśli jesteś dzieckiem w Irlandii, a jeszcze większa, jeśli jesteś irlandzkim dorosłym mieszkającym za granicą. Trudno to wytłumaczyć osobom z zewnątrz. Co samo w sobie wpływa na atrakcyjność tego wydarzenia. Albo je rozumiesz, albo nie. Albo jesteś jednym z nas, albo nie. Być może dlatego, że tak wiele osób ma się za Irlandczyków, wciąż umieszczamy nasze prywatne żarty na coraz wyższych półkach, byś musiał poprosić pracownika, aby je dla ciebie ściągnął.

Na całym świecie odbywają się grupowe pokazy, podczas których dorośli Irlandczycy kibicują pięciolatkom testującym Polly Pockets w telewizji na żywo. Jestem redaktorką w „The Hibernian Post”, gazecie dla Irlandczyków w Wielkiej Brytanii. Moja praca polega na pisaniu o wydarzeniach wśród emigrantów, a zatem moim zadaniem jest pisanie o *Toy Show*.

— Jesteś pewna? — pyta. — Nie chcę wysłać cię na mróz aż do Soho na trzy tygodnie przed Bożym Narodzeniem.

— Żaden problem — zapewniam, owijając się długim szalikiem. Przy okazji smagam się nim po twarzy.

— Nie chcę zabrzmieć jak ta koleżanka — dodaje. — Ale w twoim obecnym stanie...

— Szczerze mówiąc, mam się świetnie.

Głaszczę brzuch, dopiero niedawno rozpoczął się okres względnego spokoju w mojej ciąży. Gwałtowne mdłości i niepewność pierwszych miesięcy sprawiły, że czułam się jak na początkowych etapach długiego rejsu wielorybniczego. W końcu już wcześniej poroniłam. Ale w siódmym miesiącu osiągnęłam swego rodzaju stan zawodzącego szaleństwa oceanu. Nie mogę sobie wyobrazić ładu. Mam wrażenie, że będę w ciąży już na zawsze.

Udaję się do baru w Soho, który na jedną noc stał się przystanią dla osób tęskniących za domem. Kiedyś bywałam na wielu takich wieczorach dla emigrantów, kręcących się wokół referendów i żądań zmian. Bardzo mi zależało. Byłam zaangażowana. Zarabiałam też świetne pieniądze. Angielskie gazety publikowały wiele artykułów na temat irlandzkiej walki o aborcję, a ja byłam jedną z osób, którym zlecono ich napisanie. Przeprowadziłam wywiady z działaczami, ludźmi od Marie Stopes, osobami, które straciły córki lub żony w wyniku skomplikowanego porodu, oraz z lekarzem, który odmówił działania w najlepszym interesie matki. W tamtym momencie bycie irlandzką dziennikarką w Anglii coś znaczyło. Chodziłam na protesty, a potem kończyłam na imprezach. Moja lista kontaktów zapełniła się ludźmi, którym po pijanemu obiecywałam coś, jakąś formę działania, które zupełnie nie leżało w mojej jurysdykcji.

Mój telefon nadal jest ich pełny, cztery lata i aktualizację iPhone'a później. CLARA REPEAL, SIOBHAN REPEAL, ASHLING REPEAL, DONNACHA REPEAL. Nieznajomi dla siebie, ale na



krótko połączeni z drzewem genealogicznym ludzi, którzy chcieli tego samego, a teraz, kiedy już to mamy, prawie nic ich nie łączy.

Cieszymy się, że aborcja i małżeństwa homoseksualne są naszym prawem, ale jesteśmy samotni w noce takie jak ta.

Nie ma miejsc siedzących, a w moim obecnym stanie szalejącego oceanu zapominam, że mam teraz prawo do krzesła. Mężczyzna w moim wieku, siedzący wraz z grupą przyjaciół, oferuje mi swoje.

— Nie chcę rozbijać waszego kręgu. — Grupa, tak żywo ciesząca się tym wieczorem, wydaje mi się w większości gejowska. Z uprzejmości dla gejowskich bogów towarzyskich muszę przynajmniej udawać, że nie jestem intruzem pod postacią heteroseksualnej kobiety. Oczywiście jest, że chcę z nimi usiąść.

Chłopak kręci głową i delikatnie prowadzi mnie na swoje miejsce.

— Nie przejmuj się tym — mówi z dublińskim akcentem. — Jak byśmy wyglądali, gdybyśmy zostawili ciężarną kobietę samą w święta?

— Co by pomyślał Jezusek? — dodaje ktoś inny, a ponieważ wszyscy siedzimy teraz blisko siebie, nie mam innego wyjścia, jak tylko zostać honorowym członkiem grupy.

Przyjmuję tę rolę z wdzięcznością. Dzięki nim czuję się ważna i wyjątkowa, jak Maryja objawiająca się dzieciom z Fatimy.

Rozpoczyna się pierwsza przerwa reklamowa i czuję klepnięcie w nogę.

— Przepraszam. — To jeden z mężczyzn z drugiej strony kręgu, z którym jeszcze nie rozmawiałam. — Mogę tylko spytać...

Nie wyłapuję kolejnych słów. Gospodarz wieczoru wycisza ekran telewizora i włącza głośnik. Leci *Cest La Vie* zespołu B\*Witched, głośność jest o wiele za duża, przez co wszyscy aż

podskakują na swoich miejscach. Gospodarz szybko ścisza muzykę i podnosi ręce w przeproszącym geście.

Kieruję swoją uwagę z powrotem na chłopaka.

— ...nie wiesz przypadkiem, co się z nim dzieje? — kończy zdanie, którego nie usłyszałam w całości.

Może dlatego, że jestem wśród gejów, a może dlatego, że tak często jestem pytana o mojego najlepszego przyjaciela. Może to przez ciążę. Ale naprawdę sądziłam, że pyta o Jamesa Devlina. To jest właśnie takie miejsce, w którym normalnie zostałambym zapytana o Jamesa. Jeśli chodzi o sławę, zajmuje on zabawne miejsce na diagramie Venna: sławny w Irlandii, sławny wśród gejów, sławny w mediach społecznościowych, ale nie tak naprawdę sławny. Na tyle sławny, że gdyby był tu dziś wieczorem, ludzie robiliby sobie z nim zdjęcia, ale nie pytaliby go o autografy. Na tyle sławny, że gdy jest jednym z pięciu scenarzystów filmu, jedna z krajowych gazet publikuje nagłówek mówiący o „hollywoodzkim filmie napisanym przez miejscowego z Cork”.

— Nowy Jork — odpowiadam z dumą. — Naprawdę dobrze mu idzie, wiesz, i to nie tylko na Instagramie. Pisze skrypty dla jednego z talk-show.

Chłopak patrzy na mnie pustym wzrokiem, więc wymieniam nazwę programu. Kolejne puste spojrzenie.

Marszczy brwi.

— Byłaś u niego na seminarium na trzecim roku, prawda? — mówi. — U doktora Byrne’a? Na literaturze epoki wiktoriańskiej?

— Doktora Byrne’a — powtarzam i na sekundę mózg mi się zawiesza. To jak przerwa w dostawie prądu. Tysiące świateł w budynku mieszkalnym gaśnie jednocześnie.

— Nie chodziłaś ze mną czasem na UCC? Dałbym sobie rękę uciąć — mówić powoli. — Byliśmy razem w jednej grupie. Zajęcia Freda Byrne’a.

— Tak — odpowiadam i pomimo szoku po usłyszeniu tego nazwiska jestem świadoma tego, co mówi moja mina.

Wygładzam swój wyraz twarzy, ale jest już za późno. Muszę coś wyjaśnić temu nieznanemu, ale od czego mam zacząć? Jak mógłbyś zrozumieć rok na Shandon Street, jeśli cię tam z nami nie było, jeśli tego nie przeżyłeś?

— Słuchaj, nie chciałem... — zaczyna, gdy dociera do niego, że popełnił gdzieś błąd, ale nie ma pojęcia, gdzie i jak to naprawić. — Po prostu pomyślałem, że byłaś jedną z jego ulubienic, albo tak mi się wydawało, i może coś wiesz.

— Co wiem? — pytam. Jak mogę subtelnie poinformować tego nieznanego, że nie uprawiałam seksu z doktorem Byrne'em pomimo popularnego w tamtym czasie mitu krążącego po Cork?

— Jest w śpiączce — informuje i szybko ciągnie dalej: — Dostał jakiejś szalonej choroby mózgu i teraz jest w śpiączce.

Bycie w ciąży sprawia, że odczuwam swoje ciało warstwowo — skóra, płaszcz, rdzeń — i wszystko to dudni jednocześnie, gdy myślę o doktorze Byrne. Wielkim, dziwnym doktorze Byrne, miłośniku francuskiego wina i wymyślnych małych ciasteczek. Przynosił nam z angielskiego targu portugalskie tarty, jeszcze ciepłe. Ten głęboki żółty smak, piegi pocerniałego cukru na wierzchu.

Muzyka wylewa się z głośnika, aby poinformować nas, że przerwa reklamowa dobiegła końca, powraca *Toy Show*, a mały chłopiec z Wicklow jeździ w kółko na swoim rowerku.

Muszę zadzwonić do Jamesa.

To zabawne, że James i ja zostaliśmy tak dobrymi przyjaciółmi, biorąc pod uwagę, że przez pierwsze dwa tygodnie naszej znajomości brał mnie za kogoś zupełnie innego.

Pamiętam nasze pierwsze spotkanie jak scenę z filmu o kimś innym. Był listopadowy czwartek, a ja stałam za ladą w księgarni O'Connor's. Mieliśmy rok dwa tysiące dziewięty. To był mój ostatni rok na uniwersytecie, a do Bożego Narodzenia pozostało jeszcze dwadzieścia dziewięć dni. Nasz menedżer Ben już się martwił, że będzie to rozczarowujący sezon, i ciągle chodził i opowiadał coś o „branży”. Mówił o branży książkowej jak o smoku, który siedzi w piwnicy i w każdej chwili może nas rozetrwać na strzępy. Mówił o tegorocznej fali świątecznych książek — Dawn French i Julie Walters wydały, jak sądzę, konkurujące ze sobą wspomnienia — jakby były zwęglonymi zwłokami, które wrzucamy do gardła smoka, aby go nasycić.

— Dzięki temu branża będzie się rozwijać — twierdził Ben z niemal wzruszającą szczerością. Miał więcej wiary we wspomnienia aktorek niż Julie Walters czy Dawn French, kiedy je spisywały.

Wyciągnęłam kolejny stos z magazynu, wieża książek zaczynała się od mojej talii i kończyła pod podbródkiem.

James Devlin pojawił się jako tymczasowy pracownik w zeszyły czwartek, kiedy akurat wzięłam wolne, żeby dokończyć eseje na koniec roku na studia. James spędził swoją pierwszą zmianę

z Sabriną. Później powiedział, że nowych twarzy i imion było na jego pierwszej zmianie tak wiele, że zlały mu się w jedno, a kiedy stwierdziłam, że to bzdura, podniósł ręce i wyznał, że wszystkie heteroseksualne kobiety wyglądają dla niego tak samo.

Pierwsza zmiana z Sabriną musiała być zabawna — zastanawiające, biorąc pod uwagę, jak mało zabawna była Sabrina — ponieważ kiedy James uniósł drewnianą klapę lady, zagaił konspiracyjnym tonem:

— Ktoś tu ma świerzb i zostawił balsam w kiblu.

Dziwnie się teraz czuję, zapisując naszą pierwszą rozmowę w ten sposób, ponieważ nie ma to nic wspólnego z prawdziwym Jamesem. Jak czarujące było dla mnie to zapoznanie. „Ktoś tu ma świerzb”. Powiedział to tak, jakby był Poirotem prowadzącym śledztwo w domu na wsi, w którym popełniono morderstwo. Jak ktoś, kto dostrzegł wrodzone uprzedzenia naszego uprzejmego społeczeństwa i był gotów je obnażyć. Druga część zdania była zupełnie inna: „i zostawił balsam w kiblu”. Pochodził z hrabstwa Cork, a dokładniej z Fermoy, które było dla mnie kwintesencją prowincji. Ale dorastał w Wielkiej Brytanii — w całej Wielkiej Brytanii, jak się później dowiedziałam — więc miał specyficzny akcent, który trudno było zlokalizować. Ja urodziłam się w Douglas — małej podmiejskiej wiosce położonej dwie mile na południe od centrum miasta — i nadal tam mieszkalam.

— Co? — rzuciłam, a szok wywołany tym zdaniem strzaskalał szklistą rezerwę, którą kultywowałam jako część mojej osoby. Osoby szerzej znanej jako Dziewczyna Pracująca w Księgarni. — Co to ten świerzb?

— To coś jak pasożyt.

— Jak robaki?

— Robaki są w środku. Świerzb jest na zewnątrz. Miałaś kiedyś robaki?

- Nie.
- Nawet kiedy byłaś dzieckiem?
- Zastanowiłam się.
- Miałam grzybicę. Liczy się?
- Jak się jej nabawiłaś?

Był tym szczerze zainteresowany. To sprawiło, że zaczęłam grzebać we wspomnieniach, do których wcześniej nie wracałam, i poczułam się, jakbym odkryła nową część dna oceanu.

— Mieliśmy kota, przybłędę. Chyba on mnie zaraził.

— Zabawne, że w latach dziewięćdziesiątych wszystkie zwierzęta były przybłędami — powiedział. Zalogował się do kasy, wpisując sześciocyfrowy numer. — Wtedy po prostu zgarniało się psa ze środka drogi.

Kiedy zaczynałam pracę w księgarni, miałam pewne oczekiwania co do tego, jak powinny przebiegać prowadzone tam rozmowy. Myślałam, że będą dotyczyły książek. Tymczasem rzadko rozmawialiśmy o czytaniu. Gust czytelniczy pracowników był bardzo zróżnicowany, ale zamiast stymulować ożywioną debatę na temat literatury, oznaczało to, że po prostu siedzieliśmy cicho z naszymi książkami w pokoju pracowniczym. Ben lubił Joyce'a. Sabrina uwielbiała Terry'ego Pratchetta, Douglasa Adamsa i wszystkich innych pisarzy, co do których nigdy nie było pewności, czy żartują, czy nie. Byli też inni członkowie personelu, w różnym stopniu zafascynowani popularną psychologią, freakonomią, lokalną historią i serią *Simon's Cat*, ale z nimi też nie potrafiłam nigdy znaleźć wspólnego języka.

Zazwyczaj czytałam... no cóż, powieści. Głównie te starsze. Książki, które były popularne w połowie dwudziestego wieku, a zatem zatwierdzone przez kulturalny establishment, ale na tyle zapomniane przez moich rówieśników, że gdy je czytałam, czułam się wyjątkowa. Lubiałam martwe kobiety mówiące bez

ogródek o społeczeństwie. Lubiłam długie akapity o racjach żywnościowych i seksualnych przebudzeniach we Francji. Dopóki nie zaczęłam pracować w księgarni, uważałam się za całkiem czytaną.

Wolałam nie pytać Jamesa o jego ulubione lektury, ponieważ przez tego typu pytania straciłam już zbyt wiele potencjalnych przyjaciół. Chciałam zapytać go o coś prawdziwego albo o to, co mój dwudziestoletni mózg uważał za prawdziwe. Chciałam czegoś tak dobrego jak ta sprawa ze świerzbem.

Nie było jednak na to czasu, ponieważ w tym momencie pojawiło się kilkunastu klientów, a my ramię w ramię kasowaliśmy ich zakupy. Robiłam to już setki razy: godzinami stałam obok kolegi, pracowałam przy kasie, od czasu do czasu wdając się w pogawędkę w chwili przerwy między jednym a drugim klientem. Byłam wtedy w swoim żywiole. Zabrzmi to głupio albo jakbym długo po fakcie przypisywała ogromne emocje tej jednej późnej zmianie, ale wtedy było inaczej. To było ciepłe, jak okazjonalne chwile ciszy podczas podróży z najlepszymi przyjaciółmi.

Kiedy nasza zmiana dobiegła końca, zapytał mnie, jakie mam plany na resztę dnia.

— Spotykam się z moim chłopakiem — powiedziałam i natychmiast zmartwiłam się, że idąc na spotkanie z Jonathanem, tracę jedyną okazję, by zostać najlepszą przyjaciółką Jamesa.

James już odpalał papierosa.

— W którą stronę idziesz?

— Sober Lane.

— Ach! — rzucił, a ja nie byłam pewna, czy się poparzył, czy też doznał jakiegoś objawienia. — Ja na Travers Street. Odprowadzę cię.

Szliśmy zatem razem i pomimo mojego pragnienia, by zmusić Jamesa do otwarcia się, żebym mogła go poznać, wydawało się,

że nie ma czasu na zadawanie pytań. James też nie chciał drążyć. Chciał snuć przypuszczenia.

— No dobrze, niech zgadnę. Twój ojciec pracuje w banku.

Uśmiechnęłam się.

— Pudło.

— W takim razie dziadek. Widzę u ciebie bankowe zacięcie.

— Mój dziadek pracował w banku, zgadza się. Ale tata jest dentystą.

— Widzisz, o to chodziło. Wiedziałem.

— Nic nie wiedziałeś!

Zbył to machnięciem ręki, jakby rzucał zaklęcie.

— Wyczuwam tu elegancję klasy średniej. S t a r e pieniądze, s t a r e Cork. Zapewne twoja matka jest albo wspaniałą chudą pijaczką, albo totalną wariatką; jeszcze nie zdecydowałem. Zaciśnięte usta, jak dupka kanarka. Ciepło?

Parsknęłam, zastanawiając się, skąd mógł to wiedzieć.

— Powiedzmy, że ciepło. To drugie — przyznałam, a potem poczułam się podle. Moja mama również pracowała w gabinecie, a ponieważ ojciec przeprowadzał głównie zabiegi kosmetyczne, oboje cierpieli wskutek zmieniających się priorytetów kraju, w którym jest mniej powodów do uśmiechu.

— A chłopak... chłopak, chłopak, c h ł o p a k. Znowu nie mogę się zdecydować.

Podczas rozmowy tak bardzo poruszał rękami, że żar papierosa odpadł, więc przerwał, by go ponownie zapalić.

— Razem od liceum, byliście parą roku, wszyscy myślą, że się pobierzecie, ale ty nie jesteś tego taka pewna. Planujecie wspólny wyjazd do Tajlandii. — Wypuścił powietrze. — Albo starszy mężczyzna, robi doktorat czy coś takiego, trochę niestosowna różnica wieku, trochę purysta, twoi przyjaciele go nienawidzą, ale ci o tym nie powiedzieli.



Nie wiem, dlaczego uważał, że obrażanie wszystkich osób, które znałam, zarówno prawdziwych, jak i wymaginyowanych, jest w porządku. Ale był przekonany, że ujdzie mu to na sucho, więc mu na to pozwoliłam.

— Ani jedno, ani drugie — powiedziałam, broniąc Jonathana. — Nie jest żadnym z tych typów. Nie da się go skategoryzować.

— A do którego mu bliżej?

Zastanowiłam się.

— Raczej do pierwszego. — Powiedziałam to tylko dlatego, że wydawało się mniej złe.

Byłam zakochana, a przynajmniej tak mi się wydawało. Mój problem polegał na tym, że musiałam przekonać ludzi, by traktowali to poważnie. Miałam dwadzieścia lat i potrzebowałam dwóch rzeczy: być zakochaną i być traktowaną poważnie.

Jonathan i ja byliśmy dziećmi z Cork, które dorastały na przedmieściach otaczających miasto i z niechęcią poszły na tamtejszy uniwersytet. Jak dla nas było tam sześć dobrych pubów i trzy dobre kluby, a my udawaliśmy, że jesteśmy znudzeni miastem Cork, choć jednocześnie nie staraliśmy się odwiedzać żadnych nowych miejsc ani nie robiliśmy niczego, czego nie zrobiliśmy już, gdy mieliśmy po siedemnaście lat.

Jako para byliśmy poważni do granic znudzenia i dziwnie konserwatywni w naszych poglądach. Niedawno musiałam wejść na stare konto pocztowe, by zmienić hasło. Kiedy się na nie zalogowałam, znalazłam jeden z moich esejów z socjologii z tego okresu, okresu Jonathana, wysłany e-mailem do mojego nauczyciela. Esej nosił tytuł *Patriarchat we współczesnej Irlandii*. Wklikalałam się w niego, chcąc zobaczyć, co młoda ja miała do powiedzenia na temat zniewolenia kobiet w Irlandii.

„To, czy patriarchat jest, czy nie jest czynnikiem we współczesnej Irlandii, nie ma znaczenia” — przeczytałam w pierwszym

zdaniu. „Pytanie brzmi: dlaczego patriarchat został tak niesprawiedliwie wyszydzony jako zasada organizacyjna?”

Esej mnie zszokował. Byłam całkowicie szczerą. Dziewiętnastoletnia ja, ta sama dziewczyna, która zaledwie dwa lata wcześniej wykorzystwała wszystkie swoje urodzinowe pieniądze, aby zdobyć pigułkę dzień po w kraju, który celowo uczynił ją trudną do zdobycia, walczyła w imieniu patriarchatu. Przeczytałam całość i skasowałam plik. Następnie przez dwa dni chodziłam po Londynie, zadręczając się. Miałam typową tylko dla ludzi mojego pokolenia paranoję, że zaraz zostanę publicznie wyszydzona przez niewidzialną, internetową masę za ideologiczne zbrodnie popełnione w nastoletnim wieku. Myślałam, że zawsze byłam feministką. Z pewnością urodziłam się z wiedzą, że życie jest niesprawiedliwe. Ale nie, to wszystko przyszło później, kiedy jako dwudziestokilkulatka mieszkalam w Londynie.

Taką mnie znał jednak Jonathan i taką mnie stworzyliśmy razem. Siedzieliśmy w pubach i wymyślaliśmy opinie, głównie poprzez przyjęcie konsensusu, a następnie odwrócenie go. Radykalne wydawało nam się nienawidzenie filmu *Legenda telewizji*.

James zostawił mnie przed Sober Lane. Zapytałam, czy chce wejść i poznać mojego chłopaka. Odmówił.

— Nie chciałbym sprawiać ci kłopotów — powiedział. — Jeszcze pomyśli, że kradnę mu dziewczynę.

Roześmiałam się, ponieważ oczywiste było, że James to gej, a pomysł, że mógłby mnie komukolwiek ukraść, wydawał się niedorzeczny. Ale śmiałam się zbyt długo i głośno, a James popatrzył na mnie tak, że policzki zaczęły mnie palić. Był zraniony i zamknięty w swojej szafie, która wydawała mu się całkiem przytulna. Przestałam się śmiać.

— Nie jest typem zazdrośnika — powiedziałam szybko, a na twarz Jamesa powrócił słoneczny blask.

Pożegnałam się z moim nowym przyjacielem i zniknęłam w ciemnym barze, gdzie czekał Jonathan. W myślach ganiałam się za to, że byłam niegrzeczna.

Ale James ukradł mnie Jonathanowi. W ciągu zaledwie miesiąca zostałam skolonizowana przez Jamesa na poziomie molekularnym, a moja osobowość kształtowała się wokół niego wszędzie tam, gdzie było na to miejsce. Oficjalnie mówi się, że Jonathan mnie rzucił. Prawda jest jednak taka, że zostawiłam go dla innego mężczyzny.

Oto historia, którą James uwielbia opowiadać ludziom: „Rachel i ja pokłóciliśmy się tylko raz i stało się to, zanim jeszcze naprawdę się poznaliśmy”.

A ja zwykle mówię: „Mieliśmy jedną kłótnię, a James nadal wtedy myślał, że mam na imię Sabrina”.

A potem on dodaje: „Więc tak naprawdę moja pierwsza kłótnia była z Sabriną”.

Kłóciliśmy się oczywiście więcej razy. Dwa. Nie rozmawiamy o nich.

Minęło kilka tygodni, odkąd James odprowadził mnie do Sober Lane i nie wykazał ponownie takiego samego zainteresowania moją osobą. Zaczęłam żywić do niego urazę. To nie było w porządku, że tak mocno zaświecił swoim światłem, a potem odszedł, zostawiając mnie w ciemności i chłodzie z moim własnym nudnym towarzystwem. Większość moich najbliższych przyjaciół wyjechała na studia. Ci, którzy osiągali wysokie wyniki w nauce, do Trinity, aspirujący nauczyciele do Mary I. Ludzie, którzy mi zostali, to albo dziewczyny, z którymi przyjaźniłam się w liceum, albo przyjaciele Jonathana.

James był pierwszą osobą od lat, z którą bardzo chciałam się zaprzyjaźnić, ale wyglądało na to, że on nie chciał przyjaźnić się ze mną. Co więcej, oczarował całe kierownictwo tak bardzo, że zawsze wybierał najlepsze zmiany.

Nie wiedziałam jeszcze, jak wściekać się na ludzi, więc po prostu naśladowałam zachowanie, które widziałam w domu: odzywanie się do kogoś krótkimi, zdawkowymi zdaniami aż do szaleństwa. W ten sposób moja matka walczyła ze mną, ja z moimi młodszymi braćmi, a oni ze swoimi przyjaciółmi. Nie chodzi o to, że jako rodzina nie byliśmy zdolni do okazania ciepła. Ale regularnie uwodziła nas koncepcja bycia krzywdzonym. Ludzie zawsze nas krzywdzili. To, że ostatni kryzys gospodarczy zniszczył biznes moich rodziców i uszczuplił ich inwestycje, było kolejnym dowodem na to, że świat chce dopaść Murrayów. W tamtym czasie naszą reakcją było traktowanie świata z przy-mrużeniem oka.

Po jakimś czasie James wyczuł mój nowy lodowaty nastrój i zaczął na niego odpowiadać. Wciąż próbował mnie zaangażować, żartując z mojego bankowego pochodzenia. Ja głównie go ignorowałam. Ta zmiana naprawdę mnie niepokoiła. Doszłam do wniosku, że James był samolubną, płytką osobą — być może socjopatą — i zamierzałam trzymać się od niego z daleka, dopóki nie zrozumie swojego błędu i nie przestanie okupować dobrych zmian.

Po tym, jak zignorowałam kilka jego prób nawiązania rozmowy, wszedł za ladę, aby uporządkować kilka zamówień. I szturchnął mnie długopisem w tył kolana. Trafił w punkt, jak to miał w zwyczaju. Kolano się pode mną ugięło i zachwiałam się. Nie upadłam, ale zaburzenie grawitacji sprawiło, że poczułam niepokój i irytację. Powiedziałam mu, żeby przestał. Roześmiał się i zaczął obsługiwać klienta, jakby nic się nie stało.

Godzinę później zrobił to ponownie. Sytuacja się powtórzyła. Zachwianie, niepokój, wściekłość. Krzyknęłam, żeby przestał, a on się skulił ostentacyjnie: jak malutki, wielkooki Jerry przy ogromnym, postawnym Tomie. Już wcześniej zauważył, że nie czuję się pewnie ze swoim wzrostem metr siedemdziesiąt dziewięć, co było tak bliskie metra osiemdziesiąt, że często nie bawiłam się w formalności i mówiłam ludziom, że mam metr osiemdziesiąt, aby ukrócić wszelkie spory na ten temat.

W pobliżu nie było nikogo poza naszym menedżerem Benem, a gdy tylko się odwróciłam, James zrobił to ponownie. Tak bardzo mnie zaskoczył, że tym razem upadłam. Ben śmiał się i z tego wszystkiego zapomniał o smoku. Wściekłam się do tego stopnia, że na moment puściłam w niepamięć swoje podmiejskie maniery i pchnęłam Jamesa, używając całej siły mojego ciała, na ścianę za ladą. Półka załadowana przedpremierowymi zamówieniami odłożonymi dla lojalnych klientów zatrzęsa się i stos się przewrócił. Wspomnienia Dawn French w twardej oprawie trafiły Jamesa w głowę i skaleczyły go nad okiem. Zaczął krwawić, a jego gładko uczesana grzywka zlepiła się wokół rany niczym gaza.

— Rachel! — krzyknął Ben. — Co ty wyprawiasz?

Wtedy James dowiedział się, że nie mam na imię Sabrina. Uśmiechnął się do mnie, podczas gdy Ben pobiegł po apteczkę.

— Nareszcie — rzucił i zaśmiał się z dziwną, świeżą wesołością. — Oto i ona.

Czułam się z tym tak źle, że po pracy zaprosiłam Jamesa na drinka.

— Niech będzie, zabójczyni — powiedział, uśmiechając się i owijając swój niezwykle wąski szalik wokół cienkiej szyi. — Masz zarezerwowany stolik w klubie golfowym?

Fascynacja Jamesa moją przynależnością do klasy średniej nie zmieniła się od dnia, w którym się poznaliśmy, i czasami

zastanawiam się, czy cała jego przyjaźń ze mną opiera się na chęci skatalogowania dokładnych źródeł utrzymania dentystów i ich dzieci. Przykładowe pytanie, które mogę otrzymać od niego o każdej porze dnia i nocy: „Czy Bridget podaje marchewki pokrojone w kółka, czy w paski?”

„Paski” — odpisałabym na to.

„Wiedziałem” — brzmiałaby jego odpowiedź.

Na tym etapie nie zaskoczyłoby mnie, gdybym dowiedziała się, że pisze książkę.

Był to sezon przyjęć bożonarodzeniowych i po kilku nieudanych podejściach w zwykłych pubach znaleźliśmy restaurację serwującą tapas na Washington Street, która próbowała uwieść Cork koncepcją małych porcji i oferowała opcję przyniesienia własnego wina. Cała wyprawa przypadkowo stała się romantyczna i denerwowałam się, że James pomyślał, że próbuję naprawić moje wcześniejsze *faux pas*, zmuszając go do randki ze mną. Zaczęłam głośno komentować menu, oskarżając restaurację o próbę nadania szynce fantazyjnego brzmienia.

James oparł swoją drobną twarz na rękach, zadowolony z pogawędki o szynce.

— Małe porcje — powiedział. — Czy gdybym potrzebował szwów, zabrałabyś mnie na dużą porcję?

— Na ostrygi — odpowiedziałam.

— A jeśli złamałbym kończynę?

— Nie jestem organizacją charytatywną — odparłam, na co się roześmiał.

— Tak to wygląda. Czytałem gazety. Bogaci próbują cię przekupić wielkim gestem, byś nie wnosił pozwu.

— Dlaczego uważasz, że jestem bogata? Nie jestem.

Gestem wskazał na nasze otoczenie, kredowe menu z napisem „Specjały kuchni” i świeczniki w pustych butelkach po winie,

które prawdopodobnie zostały przyniesione przez klientów z różnych domów w mieście Cork.

— Mieszkam z rodzicami, to wszystko.

— Aha. Więc pracujesz na kieszonkowe?

Powiedziałam Jamesowi, żeby zamówił, co chce, i pomimo jego przypuszczeń co do mojego bogactwa wybrał najtańszą butelkę wina i miskę nerkowców. Kilka sekund później dostaliśmy butelkę wody i dwa małe kieliszki.

— Nie — powiedział, nalewając wodę. — Nikt nie pracuje tyle co ty, jeśli nie ma takiej potrzeby.

— Cóż. — Wzruszyłam ramionami.

— Masz zmiany w czwartki, piątki, soboty i niedziele — wyliczał na palcach. — I chyba raz widziałem cię w poniedziałek po południu. Ale uczysz się też w college'u?

— Przychodzę, kiedy tylko Ben mnie potrzebuje. — Ponownie wzruszyłam ramionami i uświadomiłam sobie, jak bardzo jest to nudne narzędzie konwersacyjne. — Słuchaj... — zaczęłam.

Kelner przyszedł z winem i nerkowcami, po czym zapytał, czy wiemy już, co chcemy wziąć do jedzenia. James odpowiedział, że nerkowce na razie wystarczą.

— Mów dalej — poprosił James, gdy kelner odszedł.

— Muszę opłacać jakoś studia — wyjaśniałam, starając się, by mój ton wydawał się szczery, a nie żalony. Zdradziłam mu coś, czego nie mówiłam nikomu: że moi rodzice, którzy z łatwością wysłali mnie i moje rodzeństwo do prywatnych szkół, nie byli w stanie zapłacić za studia.

W dobrych czasach, gdy zarówno finanse mojej rodziny, jak i moja reputacja odpowiedzialnego dziecka były nienaruszone, ojciec dał mi kartę kredytową. Miałam regularną pracę jako opiekunka dla dzieci, ale karta kredytowa służyła do płacenia za drobiazgi, takie jak książki, notatniki i taksówki do domu po

wieczornych wyjściach. Karta została przekazana z pompą, po długiej rozmowie o tym, że lepiej jest posiadać kartę kredytową, ponieważ można dzięki niej zbudować zdolność kredytową.

Było to coś, co Jonathan uważał za bardzo zabawne. Jego rodzice pracowali na państwowych posiadłościach, a posiadanie dziewczyny z kartą kredytową tatusia sprawiało, że czuł się jak jakiś prostak. W rzeczywistości prawie jej nie używałam. Aż upłynęło kilka tygodni mojego pierwszego semestru na UCC, a ona przestała działać.

— Tato — powiedziałam, stojąc w księgarni na kampusie, gdy zadzwoniłam do niego po wyjściu z kolejki klientów — zapomniałaś spłacić kartę?

— Nie — odparł. — Nie zapomniałem.

W trzewiach poczułam strach, ale w istocie była to pierwsza dawka prawdziwego życia, jakiej kiedykolwiek posmakowałam. Od czasu krachu rodzice przestali podróżować, chodzić do restauracji i kupować nowe rzeczy. Myślałam, że są ostrożni. Nie zdawałam sobie jednak sprawy, jak bardzo byliśmy splukani. To właśnie podczas tej rozmowy dowiedziałam się, że nie tylko straciłam kartę kredytową, lecz także będę musiała znaleźć sposób na opłacenie czesnego za studia.

Opłaty za studia były wtedy w Irlandii dość symboliczne, najwyższej kilka tysięcy rocznie, a wszyscy, których znałam, mieli opłacone czesne. To w pewien sposób pokazuje, jak rozwarstwiony był mój świat. Mój ojciec się wstydził, a ja wstydziłam się za niego.

— Będziemy musieli znaleźć jakieś rozwiązanie, Rachel — powiedział, jakby uspokajał wściekłego bukmachera. Nie chciał, żebym brała kredyt studencki. Jego zaufanie do banków było zbyt nadszarpnięte.

— Oczywiście — powiedziałam szybko. — Mogę pracować.



— Racja — zgodził się. — I to zostanie... między nami. Chłopcy nie muszą o tym wiedzieć.

No i trzymałam to między nami. Teraz natomiast było to również między mną a Jamesem. Czułam się źle z tym, że nadużyłam zaufania ojca, ale chciałam zdobyć zaufanie mojego nowego przyjaciela. Na szczęście zadziałało. James bardzo się wczuł w dramatyzm sytuacji.

— To wyjątkowo... Nie wiem. Jak ze sztuki teatralnej! Wybuchnęłam śmiechem.

— To nie sztuka.

— Brzmi jak sztuka — powiedział stanowczo.

— Nie jest tak źle — odparłam, nie chcąc wzbudzać litości. — Opłaciłam chesne za ten rok i nie robię magisterki, więc teraz jestem po prostu... splukana. — Gestem wskazałam na stół. — Powinniśmy zamówić coś do jedzenia — zasugerowałam.

— Powinniśmy zamieszkać razem — odparł.

— Co? — Zakrztusiłam się winem. — Nawet mnie nie znasz.

— Wiem, że masz na imię Rachel. — Wtedy wydawało mi się to żartem, ponieważ nie wiedziałam jeszcze, że brał mnie za Sabrinę. — I że cię lubię. W każdym razie nie przepadam za swoim obecnym mieszkaniem. — Przyjrzał się nerkowcom. — Myślę, że byłoby nam razem wesoło, nie sądzisz? Przy Shandon Street jest kilka fajnych miejsc. Technicznie rzecz biorąc, to północna strona miasta, ale dasz sobie z tym radę, prawda? Księżniczka z południa po złej stronie torów? Bardzo teatralne. Totalnie brzmi jak sztuka!

Spojrzałam na niego niepewnie.

— Znalazłeś już mieszkanie, prawda?

— Tak.

— I ktokolwiek miał z tobą mieszkać, zrezygnował.

— Tak — przyznał bez cienia skruchy.

— A ja jestem twoją ostatnią deską ratunku.

— Nie, nie, Rachel! Nie! — Spojrzał na mnie przerażony. — Przyszło mi to do głowy teraz, w tej chwili. Przypadkowo opuściłem z tobą wodze fantazji, ale zrobiłem to, z a n i m sięgnę do swojej listy ostateczności.

— Och.

— Przemyśl to.

Rozmowa toczyła się dalej, dyskutowaliśmy o różnych głupotach, a kiedy wróciłam do domu autobusem o dwudziestej trzeciej, moi rodzice siedzieli przy kuchennym stole. Człowiek, który był właścicielem biurowca ojca, utopił się w Lee. Pisali o tym w „Wieczornym Echu”. Tata nigdy nie spotkał właściciela, zawsze załatwiał wszystko przez prawnika. Rodzice martwili się, że wdowa po mężczyźnie podniesie czynsz lub sprzeda budynek.

Od lat pytam innych Irlandczyków, czy pamiętają samobójstwa, samobójstwa biznesmenów, które miały miejsce w tamtym czasie. Wszyscy odpowiadają, że nie. Może pytam niewłaściwych ludzi albo wszyscy po prostu zapomnieli. Może Cork ucierpiało bardziej albo recesja była tylko wymysłem, a nie rzeczywistością, o której wszyscy mówili każdego dnia.

— Wyprowadzam się — oznajmiłam, a mama spojrzała na mnie, jakbym rozbiła na podłodze słoik z sosem do makaronu i teraz po nim skakała, wymówiwszy się tym, że czeka na mnie taksówka.

— Z kim będziesz mieszkać?

— Z kolegą z pracy.

Brak taktu. Sprawia, że mam ochotę wsiąść do samochodu i się podpalić. Sprawia, że chcę krzyczeć do własnego nienarodzonego dziecka: „Nie waż się, kurwa, porzucać mnie w ten sposób”.

— I tak rozmawialiście o znalezieniu czegoś mniejszego — powiedziałam.

Co było prawdą. Mieliśmy pięć sypialni: ich, moją, Christophera, Kevina i mały wolny pokój, którego używaliśmy jako gabinetu. Na zewnątrz znajdowała się wanna z hydromasażem, prezent od mojego ojca dla mojej matki na jej czterdzieste urodziny. Ciągłe rozmawiali o sprzedaży domu.

— Za kilka lat wszyscy odejdziecie — odparł mój tata. — A ten dom będzie wart jeszcze mniej.

Tu matka mogłaby wtrącić: „Albo więcej. Nie wiemy, co się stanie”.

Wtedy patrzyła na mnie spod byka. Nienawidząc mnie za wsparcie tego pomysłu. Ale było już za późno, a ja podjęłam decyzję.

Wróciłam do domu, z praniem, na Boże Narodzenie. Pomyślałam wtedy, że wyglądali starzej, nikt jednak nie mógł się tak bardzo postarzyć w ciągu dziesięciu dni. Prawda była taka, że żyłam pod kloszem. Myślałam o rodzicach jak o głowach na Wyspie Wielkanocnej i dopiero gdy zamieszkałam trzy kilometry dalej, zdałam sobie sprawę, że przez cały czas byli ludźmi.

— Dwadzieścia lat to trochę późno na takie wnioski — mówi James. Prawdopodobnie ma rację.